

# Czwórka w kolorze białym

Jan Okulicz



Gram, Antares, Niedokos, Oczeret.

Jeśli komuś udałoby się zmylić uwagę dozorczy, czujność psów i wejść do stajni w nocy, ujrzałyby widok niezwykle, Czwórka koni nie różni się wzrostem, maścią, budową. Może wytrawny znawca zauważyłby pewne różnice niedostrzegalne dla niewprawnych oczu. Konie śpią na stojąco, niektóre leżą z chrapami wtulonymi w słomę. Słychać chrupania, jakieś pomruki, cmokanie. Stajnia w nocy żyje. Najbardziej intrygująco wygląda jeden z czwórki pysznych siwych, stojący w samym rogu. Niczym więzień w średniowiecznym karczerze, przykuty do ściany, od kantara do uchwytyłów żłobu ma przeciągnięte skórzane pasy ograniczające ruchy jego głowy.

- „On ma wadę. łyka” - powie mi później jego opiekun Zygmunt Waliszewski - „ogryza kawałek żłobu i jednocześnie połyka powietrze, nadyma się jak balon i dostaje Kolki”.

Kiedyś na polskiej wsi nie lubiano siwych kom. Gospodarze uważali, że jeżdżą w zaprzęgach komendantów. Wojsko od nich stroniło, bowiem w nocy są bardziej widoczne więc nadają się głównie do parady. Dla Waliszewskiego me ma zaś maści piękniejszej niż siwa i każda z jego czwórek jest tego właśnie koloru.

Poprzednie konie Zygmunta Warszawskiego były za małe. Na metę czterdziestodwukilometrowego maratonu przybiegały zbyt późno. Maszerowały krótkim krokiem, a popędzane zaczynały kłusować, co sędziowie natychmiast odnotowywali w czarnych notesach. Nie pomagało mistrzowskie opanowanie bata i czterech lejców. Waliszewski przegrywał.

Życie w Starogardzie Gdańskim, a ściślej w zbudowanych z czerwonej cegły stajniach stada, w których mieszka prawie dwieście ogierów, biegnie ustalonym trybem. Latem konie już o piątej rano wyprowadzane są na krąg ujeżdżalni. Zygmunt Warszawski idzie do swoich pięciu siwych, czyści je, karmi, poi, wyprowadza brykę z powozowni, przynosi uprząż, szory robocze, słowem zaczyna codzienną robotę. Wkrótce dołączy do niego Zbigniew Półtoraczek i rusząją we dwójkę. Najpierw

wolno jada alejkami, aby konie rozgrzać, potem wjeżdżają na czworobok, o wymiarach dokładnie takich jak na zawodach. Kilka prób ruszania i zatrzymywania koni. półkola i koła, wolty, zmiany tempa, marszu, aż wreszcie pora na kłus. Jazda trwa kilka godzin, obok na sąsiednim placu słychać co kilka minut postukiwanie kopyt o przeszkody, komendy prowadzącego jazdę. Zaprzęgowcy trenują sami, w odosobnieniu.

Mistrz rymarski Tadeusz Lidziński - trzeci z załogi Warszawskiego - może tylko przyglądać się ich pracy z okna. Rzemieślników w tym fachu brakuje, więc z robotą coraz trudniej nadążyć. Pochylony nad płatami i pasami skóry reperuje pęknięte ogłowia, urwane wodze, zniszczone siodła. Przed mistrzostwami świata postanowili uszyć nową uprzęż dla siwych, więc Lidziński musi się spieszyć. Koledzy zapytali tylko: Tadziu zdążysz? Gdyby powiedział że nie, nie byłoby obrazy, ale taki fachowiec nie odmawia, więc będą nowe szory. Dyrektor Zbigniew Markowicz postanowił do tych szorów zbudować dla swoich zawodników sosnowy powóz, brykę, jakie teraz robi już tylko jeden rzemieślnik - artysta Ryszard Bogajewicz. Ale dopchnąć się do Bogajewicza trudno. Pniewy, gdzie mieszka, daleko a mistrzostwa tuż, tuż. Jeden ze stolarzy starogardzkiego stada przyznał się, że pamięta jak jego ojciec budował bryki, więc postanowili spróbować sami.

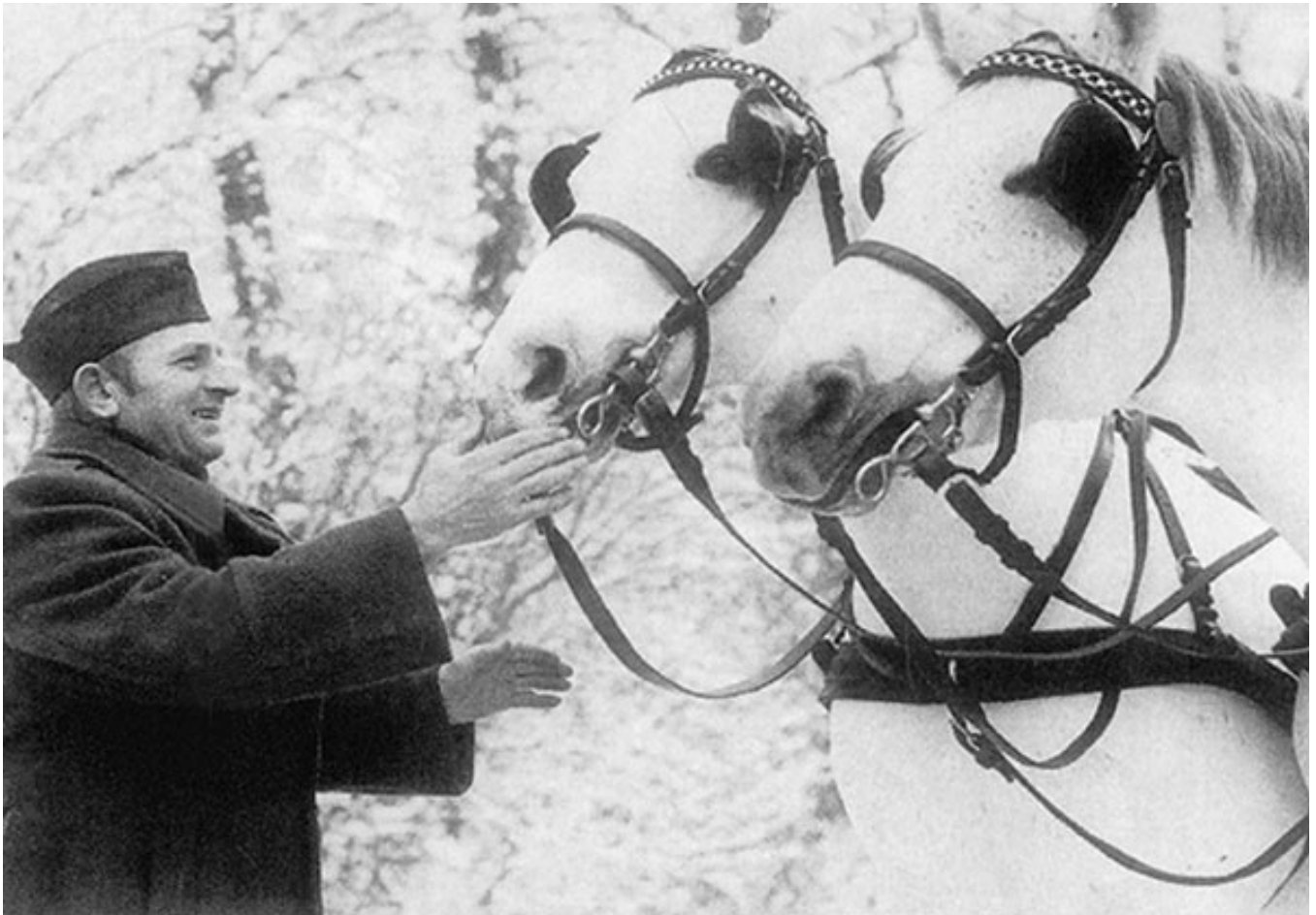
Z dawnej czwórki siwych zostały w zaprzęgu Waliszewskiego dwa ogiery, trzynastoletni Lowelas i dziewięcioletni Niedokos. - "Lolek już zaczął niedomagać na zawodach w Olsztynie" - mówi Waliszewski - „Jak mu zaczynają dokuczać reumatyczne bóle, przestaje myśleć o tym co robi, staje się złośliwy, niechętny światu, jak człowiek.” Razem z Niedokosem idą w lejcach i przeważnie w konkursach zręczności. Na maraton wymieniamy go na młodszego ogiera. W próbie terenowej ważniejsze są zresztą te z tyłu, dyszlowe. One ciągną i hamują. Kiedy bryka zjeżdża po pochyłości na końskiej szyi opiera się cały ciężar. Jak hamulec nie wystarcza, dyszlowe aż przysiadają na zadach i trzymają te kilkaset kilogramów. Lejcowe przy nich to powozowa arystokracja. Nadają kierunek, trochę pomagają, ale ciągną głównie przez cały czas dyszlowe Gram i Antares. Stary koniuszy Joncel z Kadyń podobno dokładnie przewidział, że ogier Weczer, którym się opiekował, będzie mieć potomstwo tak sprawnie ciągnące powóz. Joncel umiał powozić siódemką, szóstką i piątką. Przez kilkadziesiąt lat był furmanem u Radziwiłła.

W stajni starogardzkiej na kurs wyższej jazdy w zaprzęgu czekają dwa mlecznobiałe czteroletnie ogiery. Waliszewski wcale nie jest pewien, czy te dwa konie będą chodziły w jego zaprzęgu. Z setki koni przy dużym szczęściu wybrać można cztery pasujące do siebie charakterami. Cóż z tego, że wyglądają podobnie, gdy różnią się w marszu czy biegu. Jeden koń ma świetny długi kłus, inny znakomicie idzie stępem, a jeszcze inny po prostu nie chce ciągnąć, wierzga, bije zadem, kopie i gryzie współtowarzyszy.

Nieszczęście następuje wtedy gdy jeden z rzemieni lejcy wejdzie pod ogon konia. Taki wypadek miał Waliszewski z Lowelasem na mistrzostwach Europy w Sopocie. Trwał akurat konkurs ujeżdżania, gdy stary, mądry koń zaczął iść nieco krzywo. Cały zaprzęg poruszał się pięknie, ale jeden koń był dziwnie nerwowy. U zwierzęcia to odruch. Powożący musi na kozie dokonywać nadludzkich wysiłków, by w takiej sytuacji odzyskać kontrolę nad zwierzęciem. Lowelas, który normalnie reaguje na każde słowo, chciał w zupełnie nieodpowiednim miejscu zrobić woltę, zatoczyć koło. Sędziowie dostrzegli to natychmiast. Powożący na przemian przemawiał czule i krzychał surowym głosem. Lowelas prostował się, poruszał najpiękniejszym kłusem, ale szedł krzywo w zaprzęgu i nie było na to rady. Na międzynarodowych zawodach w Akwizgranie Waliszewski zrobił eksperyment. Lewego dyszlowego Grama zamienił z prawym lejcowym. Lowelasa użył tylko do próby zręczności i dwa konkursy wygrał.

W Płkitach, gdzie w tym roku odbyły się nieoficjalne mistrzostwa Polski, konkurencja była trudna. Dyrektor Ryszard Witoszynski tak sprytnie dobrał teren moreny, która ciągnie się hen, od Wysoczyzny Elbląskiej, że konie nie miały chwili wytchnienia. W brzoźowym zagajniku, gdzie ustawiono przeszkody, chyba nawet troszkę przesadził. Drzewa rosną tu tak gęsto, że Waliszewski, który poprzedniego dnia jak wszyscy zwiedzał trasę, mruknął „tu chyba nie da rady”. I rzeczywiście nie było zaprzęgu, który przejechałby czysto, bez zatrzymania. Waliszewski odważnie wjechał kłusem na pole

karne przeszkody, rozjeżdżone i błotniste w ten deszczowy dzień lejcowe skręciły w miejscu, machnął batem nad dyszlowymi i może by wyjechał, gdyby nie to że młoda brzózka weszła pomiędzy brykę i koło. Konie szarpnęły raz jeszcze, ale drzewko się me poddało. Jeszcze jedna próba i lejcowe zaczęły się denerwować. podskakiwać w miejscu z wyraźną jakby pretensją do swych towarzyszy. Czas biegł nieubłagana dalsze zwlekanie mogło kosztować tytuł mistrza więc Lidziński zeskoczył z wozu jako pierwszy. Potoraczyk za nim. Podnieśli tył fury, nadrzucili i wskoczyli już w biegu. Sędzia zapisał punkty karne. Dopiero później okazało się że tej przeszkody nie pokonał nikt bez zsiadania.



Lowelas i Niedokos w czasie leśnej przejażdżki.

Zaprzęgowcy lubią snuć mrozące krew w żyłach opowieści. Rzadko się zdarza, by dobrze ujeżdżone konie poniosły, ale bywają i takie sytuacje. Kiedyś przed laty Waliszewski przeżył chwilę, w której był pewien, że swoimi siwymi powozi już po raz ostatni. Trenował właśnie na placu w Starogardzie wolty i ósemki. Siedział wygodnie wysoko na kozie gdy przy kolejnym ciasnym skręcie usłyszał podejrzaną chrupnięcie i strzelił lekko z bata, by wyprostować konie i w tej samej chwili lejce pociągnęły go do przodu. Dyszlowe spłoszyły się natychmiast i w mgnieniu oka ruszyły galopem. Powodem paniki były orczyki, które zwolnione przez pęknięty dyszel tłukły zwierzęta o nogach. Po chwili czwórka galopowała po placu a powożący widział tylko szesnaście kopyt migających w narastającym tempie. Chciał zeskoczyć z kozła: łapać konie. Stopa ześlizgnęła się tak niefortunnie, że jechał dalej zaczepiony jedną nogą, z przerażeniem myśląc czym to się skończy. Treningowa bryka rozbiła się na stupie konie umknęły do stajni, ale on cały, lekko tylko oszołomiony, mógł poderwać się o własnych siłach i pobiec za nimi.

Na zawodach w Płękitach na placu manewrowym najlepiej i najszybciej przejechał między bramkami właśnie Zygmunt Waliszewski. Tym razem lejcowy Lolek spisał się dobrze. Na słupkach wyznaczających bramki leżały piłeczki które przy najlżejszym dotknięciu słupka kołem wozu spadały,

a sędziowie notowali punkty karne. Żywy baran, pierwsza nagroda w konkursie, powrotną drogę z placu do stajni odbył w bryczce Waliszewskiego. Przed odjazdem najlepszy zawodnik powiedział mi niemal na ucho:

- „Coraz częściej w różnych stadach i stadninach zaczynają mi zazdrościć i mówią, że to żadna sztuka. Niech spróbują, tak jak ja trenować w świątek piątek bez względu na pogodę, a potem wyjadą taka hultajską czwórka w teren, wtedy pogadamy”.